Ja vs Kotlina 1:1

Ból w ostatnich godzinach mojego Przejścia w 2018 roku był ogromny. Ketonal popijany energetykiem nie dawał już rady. Nie zasypiałem na stojąco chyba tylko z powodu bólu. Już dawno powinienem się wycofać, ale stając wraz z żoną Moniką na linii startu przy dolnej stacji wyciągu na Szrenicę powiedzieliśmy sobie, że kończymy to za wszelką cenę. Nasz upór był głupi, ale zrobiliśmy to – ukończyliśmy Przejście jako debiutanci.

Już na mecie mówiłem – nigdy więcej. Ale gdy emocje opadły, decyzja szybko się zmieniła. Najpierw krótki stres w „Noc Szybkich Palców". Na szczęście obyło się bez problemów – dwa zgłoszenia przyjęte i znów mogłem z żoną planować wyjazd do naszej ukochanej Szklarskiej Poręby.

Niestety nie wszystko poszło zgodnie z planem – choroba sprawiła, że jechaliśmy na Przejście mocno osłabieni. Tym razem trzeba było zachować trochę rozsądku – swoje już zrobiliśmy rok temu, teraz najważniejsze zdrowie, zabawa, widoki w „naszych" Karkonoszach.

Tu mała dygresja – moja żona Monika to przeciwieństwo mnie. W 2018 roku to ja byłem zestresowany na starcie, bojąc się nieznanego. Monika pełna optymizmu przekonywała, że musi się udać. Teraz było odwrotnie – ja, wiedząc co i gdzie nas czeka, byłem spokojny. Monika. pamiętając wysiłek i ból poprzedniego Przejścia, spokojna już nie była.

Wiedziałem, że najważniejsze co muszę zrobić to uniknąć tych samych błędów. Jako biegacz – mam kondycję, lubię się zmęczyć. Ale wolę krótsze dystanse. W poprzednim Przejściu przed Zamkiem Bolczów odcięło mi prąd. Tego nie da się z niczym porównać. Słynna „maratońska ściana" na 35. km to mały pikuś. W jednej chwili straciłem wszelkie siły – usiadłem w środku lasu i nie wiedziałem co robię. Tabliczka czekolady i energetyk pozwoliły mi wstać i jakoś dotrzeć do punktu żywieniowego w Janowicach. Tam zupa pomidorowa i bardzo słodka herbata sprawiły, że nie tylko szedłem dalej, ale ukończyłem cały dystans. To był wyraźny sygnał, że muszę przyłożyć dużą uwagę na ładowanie węglowodanów w trakcie marszu.

Pierwsze 6 kilometrów Przejścia to mój ulubiony fragment. Uwielbiam podejścia. Mógłbym tu się ścigać, ale znów było widać różnicę między mną a żoną – Monika podejść nienawidzi. W dodatku osłabiona chorobą musiała ten odcinek pokonać bardzo ostrożnie. Ja się świetnie bawiłem uzupełniając kalorie od samego startu. Jeszcze przed Halą Szrenicką zdążyłem zjeść 3 bułki, kabanosy, czekoladę i oscypki, które kupiłem po drodze przed Kamieńczykiem. Popiłem to butelką coli, żeby mieć pewność, że węglowodanów nie zabraknie.

W schronisku kilka minut postoju i ruszyliśmy w dalszą trasę. Z każdym kilometrem Monika słabła. Niestety organizmu się nie oszuka. Zwłaszcza tego osłabionego chorobą. Celem stało się zmieszczenie w limicie na Okraju. Na Przełęczy Karkonoskiej byliśmy jako jedni z ostatnich, ale nie zachodziliśmy do Odrodzenia na herbatę, dzięki temu zaoszczędziliśmy trochę czasu. Lepszym pomysłem według nas była dłuższa przerwa w Domu Śląskim przed atakiem na Śnieżkę.

Od samej Szrenicy czekałem z niecierpliwością na „Królową Karkonoszy”. Monika, gdy o niej myślała – traciła humor. W Domu Śląskim podjęliśmy decyzje o chwilowym rozdzieleniu się. Ja na Śnieżkę chciałem wbiec. Monika – jak każde podejście – musiała przejść ostrożnie. Spotkać mieliśmy się na zejściu na Czarną Kopę. I w zasadzie doszliśmy tam w prawie jednakowym czasie – bo moje kolana bardzo nie lubię zejść i zawsze się ich obawiam.

Na Okraj doszliśmy 45 minut przed limitem. Uff – udało się. Teraz można było dłużej odpocząć i ruszyć w kierunku zupy pomidorowej w Janowicach. Czułem się wyśmienicie – jedzenie przez całą drogę przyniosło efekt. Tyle czekolad co w czasie Przejścia, nie zjadłem przez ostatnie 2 lata (poważnie!). Niestety Monika słabła z każdym kilometrem. Niewyleczona choroba sprawiła, że szanse na ukończenie Przejścia bardzo mocno malały. Gdzieś w okolicach Skalnika podjęła bardzo mądrą decyzje o wycofaniu się. Dalsza droga robiła się niebezpieczna w tym stanie. Namawiała mnie, żebym szedł dalej sam. Zacząłem bić się z myślami. Z jednej strony miałem bardzo dużo sił i oceniałem, że jestem w stanie mocno podkręcić tempo. Chętnie bym się zmierzył jeszcze raz z trasą, która mnie sponiewierała rok wcześniej. Z drugiej – marzyłem o położeniu się w ciepłym łóżku, obejrzeniu telewizji z butelką piwa w ręku i zjedzeniu dużej paczki chipsów. W górach, w nocy, w środku lasu – marzenia nie są zbyt wygórowane.

Na podjęcie decyzji miałem dużo czasu. Ze Skalnika do punktu transportowego w Janowicach jest daleka droga. Bardzo długo rozważałem wszelkie za i przeciw. Odpowiedź przyniosło zejście z Zamku Bolczów. Moje kolana i stopy zostały zmasakrowane. Wolałem zaoszczędzić trochę zdrowia na kilka treningów górach. Po dotarciu do Janowic napisałem sms do organizatora z informacją o wycofaniu się. Czekając na transport można było ze spokojem zjeść ulubioną zupę pomidorową i wypić herbatę do której nalałem rum, który targałem ze Szklarskiej Poręby.

Tegoroczne Przejście zakończyliśmy po 63 kilometrach. Decyzji o wycofaniu się nie żałuję. Zdrowy rozsądek w tym roku zwyciężył. Wynik dotychczasowych startów w Przejściu brzmi 1:1. Czas na decydujące starcie.

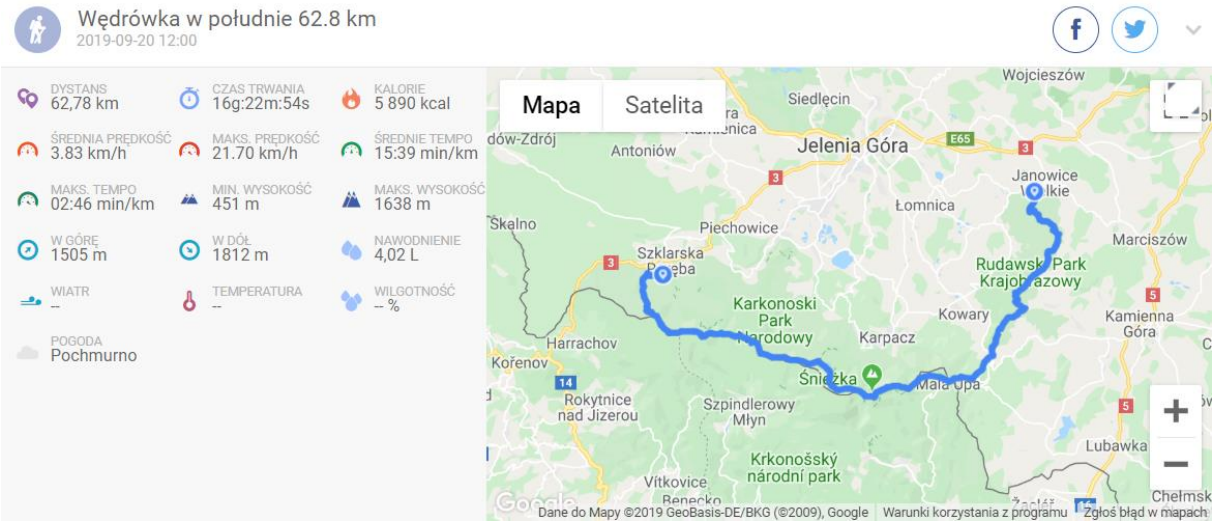

Marcin Starszak